Tom III. Nr. 18.

21. Grudnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Co to znaczy kolęda?

We wsi do szkoły poprzynosiły sobie dzieci kantyczki, a pan organista miał je nauczyć śpiewać kolędy. Ale był tam między dziećmi ciekawy Jaś co o wszystko się pytał.

Jaś. Powiedźcie-no nam panie organista, co to znaczy kolęda?

Organ. Wszak widziałeś opłatki, co to ja po chałupach i dworach przed wilją Bożego narodzenia roznoszę i rozdaję; to te opłatki nazywamy kolędą.

Jaś. A na co to pan rozdaje ludziom, to tem się nikt nie naje ani nie pożywi?

Organ. Mój Jasiu! to nie na jedzenie te opłatki, bo przecie na wilję gotują wam matusia różności do jedzenia, a te zaś opłatki wam przed jedzeniem wieczerzy rozdaje ojciec czy matusia po kawałku albo i po całym. A po dworach to znowu sam pan chodzi i łamie się z żoną, dziećmi i wszystkiemi sługami i gromadą swoją temi opłatkami. Tak samo robią i księża.

Jaś. Na cóżto łamią się ludzie temi opłatkami?

Organ. Widzisz, to na to. Bardzo dawno temu, to ludzie

pobożni, przynosili z sobą piękny cienki chleb do kościoła na ofiarę. A księża, co mieli odprawiać mszę świętą, to brali kawałki tego chleba na ołtarz i robili z nich przy mszy komunję świętą, i kto się wyspowiadał, to się zaraz mógł komunikować. A znowu resztę owego chleba brali księża, krajali i po mszy osobno kropili święconą wodą, a innym ludziom w kościele rozdawali. Nie jeden też ksiądz posłał kawałek do dworu albo i do chałupy. I tak chleb poświęcony każdy człowiek, tak pan jak i chłop, brał z ochotą i jadł, bo to przecie i dar Boski, i do tego poświęcony jeszcze.

Jaś. Ja widział taki chleb poświęcony u nas. Matusia moja trzymają go w skrzyni, jest obwinięty w bielutką szmatę i schowany dobrze, aby się nie poniewierał, bo to za okruszyny grzech, jeżeli po nich deptamy, albo na śmiecie wymiatamy.

Organ. Otóż ten chleb coś widział w skrzyni u matusi, to tak samo poświęcony na św. Agatę, jak tamten był święcony co dzień; a brali z niego po kawałeczku wierni ludzie i jedli czy w kościele, czy w domu.

Jaś. A czemużto teraz takiego chleba nie ma?

Organ. Takiego chleba dlatego nie ma, bo teraz wiernych ludzi bardzo dużo; trudno-by to mieć tyle kawałków, aby każdemu co dzień udzielić. Nie każdy też idzie co dzień do kościoła, a chcąc do domu każdemu posyłać, toby całej fury potrzeba. Aleć żeby była pamiątka z dawnych czasów, to mamy te opłatki, białe jak śnieg a cienkie jak papier. Organiści roznoszą na wilję ten chlebuś panom i gospodarzom, komornikom i zarobnikom.

Jaś. I na cóż to ludzie jedzą te opłatki?

Organ. Jużem ci mówił, że to nie na to, aby się najeść i pożywić, ale to pamiątka starodawna. Dawni ludzie podawali sobie naprzód ręce, całowali się i z płaczem przepraszali jeden drugiego, i darowali sobie wszelaką obrazę, a potem dopiero zabierali się do skosztowania owego chleba. Boć oni uważali to sobie za grzech, jeść chleb święcony, a mieć żal jaki na

na sercu, albo brać od drugiego chleb taki, a być mu dłużnym krzywdę jaką. Otóż pierwej się przeprosili szczerze, a potem tan chleb święcony po kawałeczku jedli. A my dziś mamy opłatki i każdy się łamie z drugim, rodzice z dziećmi, sąsiad z sąsiadem, pan z chłopami i księdzem swoim, na znak, że to my wszyscy ludzie jednacy, a po religii świętej toś my i bracia, co mamy jednego pana Jezusa tak na niebie, jak i w najświętszej komunii, i jedną ziemię i jedno Niebo. Ludzie teraz łamią te opłatki, aby się nie żarli między sobą, aby na siebie nie wygadywali, aby nie zazdrościli jeden drugiemu; tak chłop ma trzymać z swoim księdzem i panem, a pan znowu ma trzymać z księdzem i chłopami, a zgodnie, a cicho, a dobrze bez krzywdy najmniejszej jeden z drugim.

Jaś. A czemu to raz na rok tylko nosi pan te opłatki do nas?

Organ. Bo to już tak z dawna postanowione, i to zawsze na tę wilję, naprzód, że Boże narodzenie to bardzo wielkie święto, a potem, że to bardzo ładnie, aby się ludzie przestali gniewać i swarzyć, kiedy wiedzą, że Pan Jezus, co się dziś narodził, kazał żyć dobrze i zgodnie. Toć sami śpiewacie w pieśniach pobożnych a wesołych, co się także zowią kolędami, jak to w Betleem i Królowie i Aniołowie i pastuszkowie byli pięknie w zgodzie. Tyle się tam zeszło różnego ludu a jeden drugiemu był rad i każdy się weselił koło Pana Jezusa maleńkiego. Tak samo i my dziś i zawsze mamy robić.

Jaś. To prawda, jak się jeden na drugiego gniewa, to ani nie mówią do siebie, ani się nie odwiedzają, aniby chleba razem nie jedli i wody jednym garneczkiem nie pili; a jak nie ma gniewu, to i chodzą razem i jedzą z sobą, i radzi są sobie. To też i grzech ma, kto z drugim nie chce opłatka łamać, albo się wstydzi jeden drugiego, albo się pyszni, albo się na wilję gniewa jeden na drugiego.

Organ. Dobrze mówisz Jasiu. Pamiętaj sobie to na całe życie abyś nie gardził opłatkiem, abyś kochał Pana Jezusa, rodziców, pana we dworze, księdza i starszych, i był zawsze pobożnym i dobrym.

Jaś. Ale na co to zowią ludzie kolędą jakieś pieniądze, które dają służącym teraz, aby na służbę przyszli?

Organ. Prawda, że to zowie się także kolędą u ludzi; ale to jest darunek szczery, co daje bogatszy ubogiemu na to, aby sobie coś sprawił, a służył gospodarzowi wiernie i uczciwie. I to piękny zwyczaj między nami, bo widzisz i pastuszkowie i królowie przynieśli także Panu Jezusowi to chleb, to nabiał, a i złoto także; — więc tak samo powinien człowiek o drugim pamiętać, pomagać mu, prosić głodnego na obiad do siebie, okryć go, przenocować i mieć dobre serce, bo to raduje Pana Jezusa.

Jaś. A teraz to wiem już wszystko, kolęda więc to znaczy i opłatki, i pieśni pobożne wesołe i te podarunki różne co to sobie ludzie teraz dają.

Organ. A więc zacznijcie kolędować.

Zrodził się pan Jezus z najświętszej panienki,
Wyzwolił nas wszystkich od szatańskiej ręki.
Anieli śpiewają na wysokiem niebie:
Ciesz się biedny ludu, pan Bóg zbawi Ciebie!
Pan Jezus maleńki z grzechów Cię wyzwoli,
Skruszy twe kajdany, wybawi z niewoli!
I będziesz szczęśliwym na tej polskiej ziemi,
A panowie będą ojcami twojemi!
Poleć do Betleem tam zobaczysz dziecię,
Chociaż to syn Boży a biedny na świecie;
To dzicię Pan Jezus, to Zbawiciel świata
On każe uznawać w każdym człeku brata! —
Biedni pastuszkowie z radości płakali,
Poszli do Betleem Jezusa witali.
Pierwsi mu zanieśli, jakie mieli dary,
Bo Pan Jezus dla nich nie szczędził ofiary.
Pan Jezus, syn Boży i król nad królami,
A przecież jak biedak mieszkał z bydlętami.
Nie miał swojej grzędy ni swojej gospody,
Jak biedna sierotka nie zaznał wygody.
Pastuszki mu wiązkę siana darowali,
Bo sami biedacy dobrze biedę znali;
I żłobek wąziutki jemu odstąpili,
Bo sami w ubóstwie jak mogli tak żyli.

Widzieli na oczy Jezuska biednego,
Żal im się zrobiło pana tak wielkiego;
Oddali pokłony do domu wrócili
I miłości Boskiej wielce się dziwili.
Dla was to biedacy! tak pan Jezus robi,
Że się rodzi w stajni na sianku we żłobie:
Byście nie sarkali na waszą niedolę
I nie obracali życia na swawolę;
Byście i w ubóstwie Jezusa kochali,
Do tego namowy żadnej nie słuchali;
Byście panom waszym, którzy są na przodzie
Nie stali na zdradzie, ani na przeszkodzie.
Byście ich kochali, jak brat brata swego
Byli dla nich zawsze serca przychylnego —
A oni wam za to serdecznie odpłacą
To datkiem, to sercem, to nauki pracą.
Dziś pan Jezus każe, byśmy żyli w zgodzie
Czy kto na sołtystwie lub małej zagrodzie,
Czy w biednej chałupie lub bogatym dworze,
Czy komorą siedzi lub z bydłem w oborze.
Tośmy wszyscy bracia, polskiej ziemi syny,
Pan Jezus nasz Ojciec i Zbawca jedyny,
A matka najświętsza w niebie z aniołami,
A na ziemi kościół są nam patronami. Amen.

Jaś. A na jaką to nutę można kolędować?

Organ. Na tę nutę, jak to śpiewacie sobie Krakowiaki.

Jaś. A to może grzech kolędy tak śpiewać?

Organ. Nuta żadna nie jest grzechem, tylko złe i brzydkie słowa w śpiewce są grzechem. A krakowską nutę możecie śpiewać chwałę dzieciątku Jezusowi, i Matce Przenajświętszej.

K. Wojciech z Medyki.

Puścizna.

Książka do nabożeństwa a igiełka i cepy, to majątek prawdziwy i błogosławieństwo Boże.

Na końcu wsi Zagórna mieszkał Jan Stępowicz, stary wiarus, który niegdyś z wojskiem dalekie zwiedził kraje. Dosłużył się też stopnia podoficera, krzyża wojskowego i rany nie jednej. Ale została mu kochana pamięć dla swojego jenerała i po tem wszystkiem, co przebył w świecie. To też bywało, gdy nie raz w święto zasiadłszy w progu domostwa, jak zaczął prawić: gdzie bywał, co widział, jak to cierpiał, a potem znowu i o różnych zwycięztwach — to aż staremu oczy gdyby węgle błyszczały, a wszyscy słuchali, i nasłuchać się nie mogli. Zaś ile razy opowiadał, jak to ukochany jenerał sam własną ręką krzyż na jego przypiął piersi, to i rozpłakał się zawsze niby dziecko.

Jan Stępowicz, powróciwszy do Zagórna, ożenił się z dziewczynką służebną ze dworu, porządną i zabieżną kobietą, która szyjąc dla wiejskich kobiet, nie jedną zarabiała sobie złotówkę; a wiele miała umiejętności po temu, jako sługa dworska. Był już wtedy Stępowicz dobrze posiwiały, ale też i żona jego nie była tak młodą — więc się dobrali. Chodził też na zarobek, bo czuł w sobie dość siły, i do żadnej nie lenił się pracy, czyli to z kosą, siekierą albo cepami — i nie brak im było powszedniego chleba.

Pan Bóg udarował ich trojgiem dziatek: dwoma chłopczykami i dziewczątkiem, o których matka wielkie miała staranie; nauczyła ich nasamprzód paciorka, i do różnej od samego dzieciństwa wezwyczaiła pracy. Starszy chłopczyk, Józefek, niby trochę słabowity, do domowej był użyty posługi. Młodszy Marcinek, tęgi, raźny chłopak, musiał ręki do cięższej dokładać roboty i ojcu pomagał; a dziewczątko, Teklusia, umiatała izbę, sień i każdy kątek; umywała miski i łyżki — i nauczyła się z łatwością sporządzać koszule ojcowe, albo też płótnianki dla braci. — Zaś w dni świąteczne, to ojciec nauczył ich litery poznawać

i czytać — a miał piękną książkę do nabożeństwa, którą w czasie całej wojaczki zawsze nosił przy sobie i na chwałę Bożą i ku własnej pociesze.

Tak spłynęło lat dwanaście, w zgodzie i statku, przy pracy i pacierzu; aż ci raz Stępowiczowa zachorowała — i zmarła. Oj, byłać też to, była wielka żałoba dla biednego męża i dzieci! Stary wiarus także od tej chwili słabować począł, i odzywały się rany i mitręga wojenna, i biedaczysko pomizerniał bardzo. Nie był też już i zdatny do ciężkiej pracy, ale wszelako co mógł to robił, posługując około dworu. Józefek posługiwał księdzu proboszczowi; Marcinek pomagał gromadzkie pasać bydełko, a Teklusia pozostała przy ojcu — i tak łatali biedę jak mogli.

Dnia jednego stary wiarus nagle zaniemógł — i od razu wyrzekł, że już jego nadeszła godzina.

Biedaczysko leżał na łóżku, blady, wychudły, ze złożonemi do pacierza rękoma. Obok siedział na stołku ksiądz proboszcz, i właśnie co dysponował go na śmierć. Nad łóżkiem wisiał krzyż prosty, drewniany, i mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej.

O parę kroków od łóżka klęczeli chłopcy i dziewczątko, a zalewali się łzami.

W kominku żyliło się trochę ognia. Na oknie leżała książka do nabożeństwa, tyle ukochana żołnierzowi staremu, i jakieś pudełko nie wieluczkie, a w rogu izby stały jego cepy.

Przez chwilę cichutko było w izdebce. Potem chory odkrząknął i słabym zawołał głosem:

— Józefku, Marcinku, i Teklusiu, chodźcie-no moje dzieci!

Wszyscy troje stanęli przy łóżku.

— Pan Bóg może mnie za parę godzin już powoła do siebie — mówił dalej — i zostaniecie sierotami.. Ale Bóg was nie opuści, bo jest ojcem miłosiernym dla sierót, abyście tylko pobożnymi byli i cnotę umiłowali. Dobytku nie zostawiam wam

żadnego, jeno dobrych ludzi opiekę... Teklusiu, podaj mi książkę z okna i pudełko.

Dziewczę spełniło rozkaz ojca.

— Daję wam na pamiątkę jedyne bogactwo moje.... Ta książka do nabożeństwa była wszędzie zemną: i w ogniu, i w lazarecie, kiedym był wesół, i gdym był żałośny. Zostawiam ją tobie, Józefku... a jest w niej złożony i krzyż mój... co mi go przypiął jenerał. Nauczyłeś się czytać, jesteś słabowity i niezdatny do cięższej pracy, to może i ta święta książka jako pokieruje cię w świecie.

Blady, drobny i zapłakany Józefek odebrał książkę z rąk ojca, i przycisnął ją do piersi, jak gdyby w żałości wewnętrznej ulżyć mu miała.

Tobie, Marcinku, oddaję cepy, które tam w kącie stoją! — mówił dalej Stępowicz. — Pracowałem dla was póki sił starczyło; Bóg tobie dał moc i zdrowie, więc pracuj także, nie leń się do niczego, a nie zabraknie ci chleba.

Marcinek ładny, choży chłopak, ukrył twarz rumianą w dłoniach, i poszepnął płaczliwie:

— Będę pracował, tatuniu.

— Teklusiu! — zwrócił się chory do dziewczątka — tobie oddaję to pudełko po matce: i są tam igły, naparstek i nożyczki. Bądź taką dobrą i pracowitą niewiastą jak matka była.

Dziewcze odbierając pudełko upadło na kolana przy łóżku i szlochało głośno.

— Bądźcie o dzieci wasze spokojni — ozwał się teraz ksiądz proboszcz — ja wezmę Józefa pod swoją opiekę. Gospodarz Ignasiek bierze Marcinka, a pani zabiera Teklusię do dworu.

Stępowicz złożył dłonie:

— Umieram szczęśliwy. Boże, Boże mój miłosierny! — i westchnął gorąco.

W parę godzin potem, tak jak sam przepowiedział, stary żołnierz już nie żył.

Dnia trzeciego ksiądz proboszcz wyprawił mu pogrzeb porządny.

Dziedziczka wzięła Teklusię do dworu, ksiądz proboszcz Józefa, a gospodarz Ignasiak Marcina, i nie było sieroctwo ich zbyt gorzkiem pod tak poczciwą opieką.

W lat kilkanaście po śmierci Jana Stępowicza, w sam dzień Matki Boskiej narodzenia, zapraszam was na chrzciny do jednego domku w Zagórnie. Był to domek świeżo pobielony, z oknami czysto wymytemi, na których zielenił się tatarak. Przed sionką było umiecione czyściutko, wysypane piaskiem i także tatarakiem narzucono; na lewo były chlewiki, na prawo, za ogrodzeniem chróścianem, zagony z różnem warzywem, opielone starannie.

W izbie czystej i schludnej leżała na łóżku porządnem młoda i ładna kobieta i tuliła w poduszce malutkie dzieciątko.

Nad łóżkiem wisiał znowu krzyż prosty, drewniany i kilka świętych obrazów. Były tam dwie skrzynki, szafa, dwa stoły i kilka stołków. W szafie za szkłem wyglądały szklanki, talerze fajansowe i ładne garnuszki.

Po izbie uwijała się rumiana dziewka, ogarnięta świątecznie.

Tą kobieciną w łóżku leżącą była owa niegdyś Teklusia, córka starego żołnierza, Jana Stępowicza. Zasłużyła się dobrze dziedziczce, i pani wydała ją za gajowego, Tomasza Gałkę, bardzo porządnego człowieka. Teklusia we dworze wprawiła się w szyciu i w krawieczyźnie — mając w poszanowaniu igiełkę matczyną — a gdy została żoną Tomasza Gałki, stała się krawczyną na wieś całą, co jej nie mały przynosiło zarobek: każdą spodnicę i każdy czepiec w Zagórnie igiełka jej znała.

Przed trzema dniami dał jej Pan Bóg córeczkę, i właśnie, ot miały być chrzciny. Tomasz Gałka przyniósł z miasteczka słodkiej wódki, garniec piwa i parę rządków kołacza. Chleb dobry i masło zawsze w domu było, a dziewka upiekła pieczeń wieprzową i ugotowała kaszy jaglanej ze skwarkami.

A wiecie też jacy tam byli kumotrowie? — Ot Marcin, ów Marcinek, którego to gospodarz Ignasiak wziął do siebie po śmierci ojca z ładną Marysią, córką Ignasiakową. Zasłużył się także u gospodarza swojego, jako doskonały parobek i nie lenił się do żadnej pracy i we wielkiem poszanowaniu miał cepy ojcowskie. To też gospodarz, gdy widział, że chłopakowi niebrak było urody a ma się do jego córki, wcale temu przeciwny nie był, by się młodzi pobrali. Bo Ignasiak miał zdrowy chłopski rozum i dobrym był ojcem — a wiedział, że praca i poczciwość więcej znaczą aniżeli majątek.

Tekla uśpiła dzieciątko, i przyglądała się czepeczkowi z różową wstążeczkę, który wczoraj uszyła, by córuchnę do chrztu św. ustroić. W tem wszedł Tomasz Gałka, człek przystojny i czerstwy, z koszykiem pełnem gruszek i jabłek na poczęstne dla gości.

Za nim weszli też zaraz i Ignasiakowie: Marysia i Marcin.

— Niech będzie pochwalony.....

— Na wieki.....!

— A witajcież!

— Jak się macie!

— Szczęść wam Boże!

— Bóg zapłać!

Powitali się wszyscy nawzajem.

— Ksiądz brat także już przyjechał — ozwał się Tomasz — ale wstąpił do księdza proboszcza na chwilkę.

Ksiądz brat?... Otóż widzicie, że ów mały, słabowity Józefek, został księdzem i był już wikarym w sąsiedniej parafii. Był bardzo posłusznym we wszystkiem dobrodziejowi swojemu, uczył się pilnie i miał w poszanowaniu książkę ojcowską, to też i jemu pobłogosławił Bóg dobry.

Niezadługo zaturkotała bryczułka przed domem — i ksiądz Józef wszedł do izby.

Radość była tam niemała — Tekla aż się spłakała, tak szczęśnie zrobiło jej się na sercu.

Kumotrowie poszli do kościoła z dzieciątkiem, które ksiądz Józef ochrzcił.

Gdy powrócili do domu i dziecię oddano matce, wyrzekł ksiądz Józef do siostry:

Masz nową chrześciankę matko! naucz ją pacierza i wychowaj w czystej wierze, w miłości Boga i bliźniego.

Matka przytuliła dziecię do serca i cichą poszepnęła modlitwę.

Nadszedł i ksiądz proboszcz, i wesołe nastąpiło poczestne.

Paulina z L. Wilkońska.

Ciekawy Wojtuś.

Jedwab.

Pani Walentowa krzątała się koło wilji. Przyrządzała szczupaka, gotowała kluseczki, piekła białe kołacze, a naganiała dziewkę, żeby jej czemprędzej utarła maku w donicy. Wojtuś przysługiwał się także matce: biegał za korzeniami i za octem do sklepu, przebierał rodzynki, a cieszył się niezmiernie na *kutję*, co to ją z pszenicy, z maku i z miodu robią.

Zaczęło się też i zmierzchać. Mróz był należyty: pola się zaiskrzyły, a pod nogami i pod sanicami to aż skrzypiało. W miasteczku przycichło; żywego ducha nie ujrzałeś na świecie, bo wszystko zabierało się do spożycia wilji i złamania opłatka na znak zgody i miłości.

Nie ociągała się też pani Walentowa, zwłaszcza, że już i szczupak był gotów i kluseczki z makiem, a i buteleczka wina znalazła się dla starego rymarza. Więc też duchem potrząsła dziewka trochę słomy na stół i zaścieliła bielutkim jak śnieg obrusem, a po chwili siedzieli już Walentowie za stołem i spożywali dary Boże razem z dziewką i resztą czeladzi.

Wojtuś był wystrojony w nową kapotę i nowiuśkie buty, ale co najbardziej, to mu się podobała czerwona wstążeczka jedwabna u koszuli, co mu ją także matusia na święta sprawili. Spoglądał też ciągle po tej wstążeczce, i nie mógł się nią nacieszyć.

Po wilji śpiewają zwykle kolędy, a Walenty trzymał się zawsze starego zwyczaju, więc też zaczął sam: W żłobie leży, któż pobieży. Śpiewali tam i „Hej w dzień narodzenia Boga jedynego", a rymarz opowiadał o narodzeniu Jezusa dzieciąteczka, jak to ze starych ksiąg wyczytał.

Ustały wreszcie na chwilę śpiewy i gadania, a Walenty spojrzał na syna, co się bawił swoją czerwoną wstążeczką.

— No i cóż; bardzo cię ucieszyła wstążeczka — zapytał rymarz.

— Oj bardzo — odrzekł Wojtuś, przysuwając się do ojca.

— A wiesz ty z czego to zrobione?

— Mówiła mi matusia, że to z *jedwabiu*, ale ja nie wiem co to *jedwab*.

— Jeżeli nie wiesz, to ci powiem -- rzecze Walenty. — A i wy posłuchacie — dodał, zwracając się do czeladników.

— A jużci, że posłuchamy, panie majster — ozwali się owi.

— Owóż musicie wiedzieć — zaczął Walenty — że jest jedno drzewo, co się zowie *morwa*. Niejeden z was musiał już widzieć to drzewo: liście ma trochę podłużne i karbowane, a pod jesień jagody czarne albo białe bardzo słodkie.

— Oj znam — zawołał Wojtuś. — Morwy są u księdza kanonika w ogrodzie.

— A no widzisz takie same — ciągnął dalej rymarz. — Owóż żeby Pan Bóg nie był stworzył tej morwy, to by i jedwabiu na świecie nie było. A to z tej przyczyny: Stworzył też Pan Bóg taką gąsienicę, co jeno liście z tej morwy jada; a ta skoro już dobrze wyrośnie, zaczyna ze siebie wypuszczać sok, co od razu na powietrzu stygnie, i taką nicią oprzędza się naokoło, kubek w kubek jak i nasze zwykłe gąsienice po drzewach. Owóż ten oprzęd naokoło gąsienicy jest *jedwab*.

— Patrzajcież — zawołał jeden z czeladzi — a myśmy myśleli, że to tak rośnie, jak nasz len albo konopie.

Walenty odetchnął i mówił dalej:

— Alec nie wiele przyszło-by z tego człowiekowi, bo tak jak i u naszych motyli, po niejakim czasie wykłuwają się z tych

oprzędów ćmy, i te przegryzają całą nić jedwabną. Te ćmy żyją bardzo krótko, parują się, samiczka znosi bardzo dużo jajek a potem zdychają zaraz na miejscu.

Dlatego żeby mieć z jedwabiu pożytek, porobili ludzie osobne fabryki do chodowania morw i tych gąsienic i tak to urządzają, ażeby nie ze wszystkich oprzędów wylęgały się gąsienice. Tym końcem suszą w piecach oprzędy, a wtedy nie wykłuwają się już ćmy z owych suszonych, bo w nich gąsienica zamiera, jeno z kilkunastu zdrowych, co je odkładają na rozmnożenie.

Siła to zachodu wedle tego jedwabiu. Z jajek takich maleńkich jak główka od szpilki, wykluwają się na wiosnę gąsieniczki, a to takie maleńkie, że ledwo tego okiem dostrzedz można. Więc trzeba zaraz dawać pozór, żeby się to nie rozłaziło, a rzucać temu dwa i trzy razy na dzień świeże liście z morwy, bo inaczej uskwierknie z głodu biedactwo Drzew morwowych musi tym końcem być wielka siła, żeby mieć liście podostatkiem. Przy wielkich budynkach są całe sady, a w nich same morwy, sadzone rzędem.

Jeżeli się tym gąsienicom dobrze jeść daje, to rosną jak na drożdżach. Ale bo też i jedzą te bestyje niech Pan Bóg uchowa! Tak to trwa kilka tygodni, a roboty z tem jest, co niemiara, bo i czyszczenia potrzebuje. Potem nic już nie jedzą, jeno się robią smutne, zgoła jak człowiek przed śmiercią, i jak wam rzekłem, zaprządają w nitkę jedwabiu ze siebie wyciągniętą. Wtedy niema już wiele do roboty, jeno wysuszać te oprzędy co na jedwab, a inne zostawić na rozpłodek.

— A jak też wyglądają te oprzędy? — zapytał Wojtuś.

— Te oprzędy są takie białe jak srebro, a tak wielkie jak śliwka. Dopieroż z temi oprzędami jest wielka robota, bo to trzeba wszystek jedwab odwinąć, a to tam pomotane, że niech Pan Bóg broni! Aleć do tego są już osobni ludzie i osobne maszyny, co to bardzo pięknie robią. Z tych nitek robi się potem jedwabna materja, zgoła tak jak tkacze płótno na warsztatach robią.

Z wielką ciekawością słuchała czeladź i ciekawy Wojtuś tej opowieści o jedwabiu. Bajdurzyli sobie jeszcze chwilkę, zaśpiewali jeszcze dwie kolędy, a potem poszli spać wszyscy, jako że późno było, kogut piał na północ.

Mróz był na dworze siarczysty; po polach iskrzył się jak ślipie, a po nad cichym domem rymarza Walentego leciało błogosławieństwo Pana Boga z niebios.

RÓŻNOŚCI.

Zamydlił mu oczy. Jeżeli jaki oszust niby to na pozór uczciwy, drugiego człowieka w pole wywiedzie, to mawiają ludzie, że mu oczy zamydlił. Otóż opowiem wam zkąd to poszło.

Śliczny był Kraków za króla Zygmunta; więc też i ludzi było huk. Zjeżdżali się wielcy panowie z różnych stron, a nie nosili się tak jak dzisiaj, jeno w bogatych kontuszach, a u koszuli miał każdy złotą i diamentami wysadzaną szpinkę. Bo też były wtedy i lepsze czasy! Ależci nie brak nigdzie okpigroszów i oszustów; więc też trafiło się i w Krakowie dwóch takich, co chcieli tanim kosztem przyjść do pieniędzy. Cóż więc nie robią te hultaje! Najęli sobie mały sklepik na uboczu, i wywiesili miedniczkę, niby to golarze, a zapraszają przechodzących, czy komu brody ogolić nie trzeba! Jak na to przechodził jakiś pan setnie ustrojony, a że mu już broda podrosła, więc wstąpił do onych hultajów.

— Proszę jaśnie pana, proszę, woła jeden, i stawia stołek na środku izby. Zaś drugi wydobył mydło i pędzel, i dalej bić pianę do golenia. Więc postawili jeszcze wodę do obmycia, i różne smarowidła, a pan sobie myśli:

— No chwała Bogu, przecież raz mię uczciwie ogolą.

Skoro już mydło było gotowe, tak jeden z owych hultajów zdjął drogie szaty z jaśnie pana, odpiął wartowną szpinkę z pod szyi, i niby to podwiązywał mu brodę chustą, żeby się koszula nie zwalała, a hultaj zawiązał tymczasem końce z tyłu u poręczy.

Ha, no, zaczęło się golenie. Jeden urwisz głowę przytrzymuje, drugi wodzi pędzlem po brodzie, aż nagle chlast, chlast, mydłem, jeden i drugi raz jasnego pana po oczach.

Mój pan zaczął krzyczeć gwałtu, ratujcie! — zbiegli się ludzie, ale w izbie nie było już ani golarzy, ani sukni, ani szpinki, jeno sam pan siedział sobie do stołka przywiązany a z oczów kapie mu mydło.

Rozniosła się ta cała historja duchem po Krakowie, i ludzie zrobili sobie z tego gadkę na hultajów: Zamydlił mu oczy.

Na zakończenie.

Śnieg upadł bielutki na ziemię; zamarzły wody po stawach: Pan Jezus Zbawiciel świata rodzi się w ubożuchnej stajence, więc też i ludziom nadchodzi odrodzenie z Nowym rokiem, co już do wrot puka. — Otwórzcie, otwórzcie i chaty wasze i serca wasze. Niech każdy przedsięweźmie szczerą poprawę i porzuci dawne błędy, bo któż zgadnie co nam przyniesie Nowy rok ze sobą? — Może nam Pan Bóg łaskawie lepsze czasy zeszle, więc niech każdy z was będzie gotów przyjąć godnie Jego wielkie dobro. Może zeszle śmierć w utrapieniu lub na wojnie, a wtedy niechże nikt nie szemra przeciw Swiętej Woli Jego, owszem niech ją przyjmie z pokorą i milczeniem.

A niechże zamieszka z wami święta Zgoda i Miłość braterska, bo tylko zgodliwym i miłującym ludziom błogosławi Pan Bóg w Niebiesiech. Znajcie w bliźnim swoim brata waszego. Pan we dworze jest bliźnim i bratem naszym; i żyd choć innej wiary, jest naszym bliźnim, bo Miłość nieogarnioną przyniósł na świat nasz Zbawiciel, Jezus Chrystus.

Kto się zrodził i wychował na tej naszej Polskiej a Ruskiej Ziemi, to nasz brat i bliźni. Jedną wodę on pił od urodzenia, i jedna ziemia wydawała mu na chleb ziarno. A choć pan Bóg większemi bogactwy obdarzył brata waszego, to nie miejcie zawiści ku niemu w sercach waszych; bo kogo Pan Bóg ubożuchnym zrobił na tej ziemi, to go zato stokrotnie wynagrodzi w swojem Królestwie Niebieskiem.

Brzydźcie się tylko złymi i nieuczciwymi ludźmi. Kto nie ma poszanowania dla przykazań boskich, kto ma nienawiść ku ludziom, kto grabi naszą własność, ten tylko jest nieprzyjacielem Boga i naszym.

Minie zima, nadejdzie wiosna, może się Pan Bóg zlituje i zeszle nam lepszą dolę ze zieloną wiosną! —

Nasz też Dzwoneczek nie chwalący się nagania ludzi do uczciwości, zgody i miłości. Dzwoni teraz na Narodzenie Zbawiciela świata, a da Bóg to zadzwoni także z wiosną na Zmartwychwstanie Syna Bożego! Czytajcie więc pilnie Dzwoneczek ten, słuchajcie co on wydzwoni, podumajcie wieczorem przy kominie nad uczynkami własnemi i całym żywotem. Kto czysty w swem sumieniu zaśnie spokojny, ale zły niech się obawia ostatecznego sądu.

Były czasy, że niejednego z nas uwiódł zły duch piekielny. A wtedy człek od roli rzucał się na swego brata pana we dworze, i zabijał go, i żonę i dzieci jego. Nasrożył się Pan Bóg na one zabójstwa i zesłał nieszczęścia na onych zabójców, że skapali i szczeźli w niedoli i opętaniu złego ducha. I zesłał Pan Bóg na nas jeszcze gorsze czasy: głód i słabość. Czytajcie ten Dzwoneczek, i rozważajcie sobie co w nim napisano. My wam życzymy całem sercem, i nieba radzibyśmy wam przychylić, a przecież niejeden może z was złość ma ku nam w nienawiści niedobrego serca.

My będziemy wam posełać Dzwonek od Nowego roku tak jako i dawniej; a wy nam zato zapłacicie jak na pół roku to **jeden reński,** a na cały to **dwa;** boć też i ludzie każą sobie płacić za papier i za pióra.

Spis rzeczy i okładzinkę rozsełamy z tym numerem.

Zostańcież teraz z Bogiem. Spożyjcie w zgodzie i miłości opłatek na Wilję, a kto grzeszny w swojem sercu to niech sobie przyrzeknie poprawę z Nowym rokiem.

Zostańcież z Bogiem, a noście Jego imię Święte w waszych sercach, i miejcie miłość ku bliżniemu, a nie zapominajcież też i na Dzwonek, boć i on wam życzy szczęścia, lepszej doli i zmiłowania Bożego! —

Redaktor: B. Bielawski. Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**